rok 1 — Warszawa, dnia 15 czerwca 1932 r. — nr. 6

Z sztuka kultura 6 sprawy społeczne

zet — cena 50 gr. — dwutygodnik

POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

Zagadnienie konkretne

„To nie jest konkretne..."

Oto stały, uparcie i monotonnie powtarzany zarzut, jaki słyszymy od chwili ukazania się 1-go numeru naszego pisma, aż do dnia dzisiejszego. Zarzut ten, sam w sobie najbardziej niekonkretny, mglisty i ogólnikowy, miele się wciąż wkółko na żarnach rozmów prywatnych, krzywi się ku nam zagadkowym grymasem ze szpalt tygodników i dzienników. Wszystko byłoby dobrze i pięknie, na wszystko to można się zgodzić — mówi opinja publiczna — ale cóż, kiedy to nie jest „konkretne".

Ludzie dziwią się, wietrzą fałszywą grę. Frazes zdobył sobie prawo obywatelstwa tak dalece, że ludzie nie mieliby nic przeciwko temu gdybyśmy — jak tyle pism innych — drapowali się w togę wzniosłych problemów i haseł, nie w dobrej wierze, lecz tylko ze względów dekoracyjnych. Bóg, rozum, absolut, prawda, a potem nowy ład moralny, prawo moralne, unja intelektualna — cóż to za nowa, nieoczekiwana maskarada. Prasa i publiczność, słuchają tych „wielkich słów" i akceptują je w zasadzie, byle nie chciano im wmawiać, że jest to coś więcej, niż retoryczne ozdobniki.

Kiedyż to się skończy? Kiedyż wreszcie przejdziecie od deklamacyj abstrakcyjnych do zagadnień konkretnych? Oto właściwy sens tych pytajników, głośnych i niemych, jakiemi jesteśmy otoczeni.

To rozszczepianie rzeczywistości na świat rzeczy i spraw konkretnych, codziennych i na świat górnych, abstrakcyjnych problemów i idej, uważanych za krasomówstwo i frazes, jest jednym z najstraszniejszych przesądów, których dalsze pokutowanie w mózgach ludzkich grozi ni mniej ni więcej tylko zagładą naszej cywilizacji. W jednym z artykułów wstępnych określiliśmy ten problem, jako rozdwojenie osobowości świata współczesnego.

Europa dzisiejsza składa się z samych niemal „trzeźwych, praktycznych" ludzi, którzy boją się jak ognia wszelkich uogólnień i abstrakcyj. Dlatego może oglądana z perspektywy niepraktycznych „idealistów" robi ona wrażenie zbiorowiska pijanych warjatów.

Ten lęk przed syntezą, przed pojęciami ogólnemi, czyli *lęk przed rozumem* (bo czynność rozumu polega właśnie na uogólnianiu, porównywaniu i wykrywaniu praw powszechnych rządzących rzeczywistością) zaprowadzi ludzkość niechybnie na sam skraj przepaści, o ile nie będzie umiała zawrócić z tej drogi. Świadectwo tego lęku daje nam życie na każdym kroku. Ludzie czepiają się panicznie szczegółów, byle tylko nie musieć zająć się całością. Ta znana skłonność ludzka, przejawia się jaskrawo w biurokracji, tem mechanicznem odrabianiu aktów, w których powodzi gubi się właściwy sens każdej załatwianej sprawy. Objawia się i w ślepej obrzędowości religijnej, gdzie klepanie pacierzy, pokłony i przedmiociki dewocyjne zastępują ludziom poszukiwanie prawdziwej istoty religji. Objawia się ostatnio np. w krzątaninie rozbrojeniowej, gdzie ludzkość chce się wykpić od poważnej rozprawy z własnem sumieniem, zapomocą kłócenia się ekspertów o ilość karabinów maszynowych i tanków i o definicję broni defenzywnej, czy ofenzywnej.

Jest to groźniejszy, niż wszystko, „problemat młynków tybetańskich", czyli drogi najmniejszego oporu, po której idąc świat wyobraża sobie, że dojdzie do jakichś godnych uwagi rezultatów, a nie wie, że tym sposobem cofa się wstecz, zamiast iść naprzód.

Przyczyna tego zjawiska jest bardzo prosta: Ludzie uparli się i nie chcą myśleć. Wolą zginąć od gazów trujących, lub na barykadach rewolucji socjalnej — byle nie musieć myśleć nad zagadnieniami wymagającemi większego napięcia uwagi, niż kręcenie młynka do modlitwy. O szczegółach, o drobiazgach myśli się z łatwością. Ale im bardziej oddala się nasz proces myślenia od przedmiotów namacalnych, im rozleglejszych szuka związków i stosunków między zjawiskami, im głębiej wnika w świat praw i zasad powszechnych — tem większe zobowiązania przejmuje na siebie człowiek, jako istota rozumna, dążąca do świadomego stawiania i rozwiązywania problemów.

Chesterton pisze w „Uwagach o potrzebie ortodoksji":

„Coraz więcej dyskutujemy o szczegółach w polityce, literaturze. Zdanie człowieka o tramwajach ma znaczenie, zdanie o Botticellim ma znaczenie; zdanie o wszechrzeczy nie ma znaczenia... Wszystko ma znaczenie z wyjątkiem *wszystkiego*"...

Na tle tych rozważań nietrudno zrozumieć, dlaczego zagadnienia, poruszane w „Zet", nie są dla wielu dostatecznie „konkretne". Pytanie o sens istnienia, o nasz stosunek do rzeczywistości? — To niekonkretne. Nowy ład moralny? — To niekonkretne. Unja intelektualna i rząd rozumu? — Też niekonkretne. Konkretnem byłoby natomiast, gdybyśmy pisali o skandalikach, kochankach sławnych ludzi, nagrodach literackich. Wtedy napewno zdobylibyśmy uznanie, poparcie opinji i szacunek powszechny.

To, że ktoś nie umie myśleć kategorjami ogólnemi, że nie ogarnia procesów zbiorowych, że problemy rozważane w skali światowej są dlań niedostępne — nie znaczy wcale, by i inni musieli myśleć tak samo ciasno. Ludzie tego pokroju muszą się z tem zgodzić, że wbrew ich mniemaniom, będziemy uważali ich poczynania za nierealne i przypadkowe, zaś nasze za ważne i konkretne.

Ze stanowiska takich umysłów (pełno ich w prasie, w literaturze, w życiu publicznem!) wynika, że nie wolno wyrazić się np. w ten sposób: „główną przyczyną załamania się cywilizacji europejskiej jest chaos w dziedzinie pojęć ogólnych, brak rozumowych kryterjów i brak niewzruszonych zasad moralnych". Zdanie takie brzmi ogólnikowo; należy zatem mówić, że przyczyną kryzysu cywilizacji jest to, że X i Y wykazują pomieszanie pojęć w dziele tem a tem, strona ta a ta, wiersz 15-ty od dołu, zaś M i N, oraz ich wuj i siostrzeniec nie mają zasad moralnych".

Tak wygląda ta współczesna manja konkretności, doprowadzona ad absurdum. Gdy rzuca się np. projekt nowej instytucji publicznej — za konkret tego projektu uważa się nie sens, celowość i uzasadnienie prawne instytucji, ale siedzibę (adres dokładny), godziny urzędowania, ilość członków.

Tymczasem samo już postawienie jakiegoś ważnego problemu, samo rzucenie pomysłu, nakreślenie planu choćby w szkicu — o ile problem ten, pomysł, czy plan odpowiada rzeczywistości społecznej — już jest realnym czynem, już jest konkretem, który ma wpływ doniosły na kształtowanie się życia zbiorowego. Jeżeli np. unja intelektualna jest naprawdę koniecznością dziejową w epoce współczesnej, to głoszenie przez nas samej potrzeby takiej Unji jest czemś równie konkretnem, jak praca tych, którzy w przyszłości będą ją naprawdę realizować, formalnie i prawnie. Aby coś zostało przeprowadzone w szczegółach, musi wpierw powstać ogólny plan (tak jak w umyśle twórcy musi wpierw zrodzić się koncepcja dzieła). Tymczasem ludzie, z dziwnym uporem i natarczywością, żądają stawiania latarń ulicznych i słupów na plakaty, zanim jeszcze narysowano plan miasta.

Moment dziejowy, w którym los kazał nam żyć, jest tego rodzaju, że nie poszczególne odcinki wymagają naprawy, lecz *sam rozum* ludzki, sama istota duchowa człowieka. Wszystkie inne zagadnienia są dziś *pozorne*, to jedno jest rzeczywiste i prawdziwe.

Walka o naprawę i o uprawę rozumu, to walka o *człowieczeństwo*. Tę nieuchronną batalję musi dziś ludzkość stoczyć, pod grozą rozluźnienia się i skruszenia wszystkich form jej dzisiejszego bytu, pod grozą zniszczenia samej siebie. Apokaliptyczne przepowiednie upadku naszej ery są świadectwem konieczności jakiejś wielkiej akcji ratowniczej. Gdy nadchodzi potop, ludzkość musi się chronić do arki Rozumu.

Obowiązek budowy tej arki — arcytrudny problemat! — ciąży dziś na elicie intelektualnej świata, ona jedna bowiem przygotowana jest umysłowo do szukania i znalezienia prawdy epoki, celu i autorytetu powszechnego dla zbłąkanych, powaśnionych mas ludzkich.

Aby jednak dokonać tego dzieła, musimy wprzód uznać we własnem sumieniu konieczność przebudowy naszego stosunku do rzeczywistości. Musimy zrozumieć jasno, że przed elitą twórczą i intelektualną stanęły dziś zadania, od których nie wolno nam się uchylić, jeżeli nie chcemy, by wzgardliwa ręka sprawiedliwości dziejowej zdarła nam z głów wieńce laurowe i napuszone akademickie birety.

Jest to zagadnienie niełatwe — ale konkretne, konkretne, po trzykroć konkretne!

Skarga Tytana

(Miriam i jego obrońcy)

W „Kurjerze Warszawskim" z dn. 4.VI b. r. ukazał się list następujący:

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 67-ym pisma „Jutro Pracy" oraz w numerze 5-tym pisma „Zet" zjawiły się wymierzone przeciwko mnie artykuły, noszące wszelkie cechy karalnego zniesławienia.

Wskutek tego mam zaszczyt prosić Pana Redaktora o łaskawe umieszczenie w poczytnem swem piśmie zawiadomienia, że przeciwko sprawcom powyższych artykułów wystąpiłem za pośrednictwem mojego adwokata na drogę sądową.

Racz przyjąć i t. d.

Zenon Przesmycki

(Miriam).

Z prawdziwem zdziwieniem konstatujemy, że p. Przesmycki nie wniósł skargi przeciw Jerzemu Braunowi za zamieszczony w n-rze 4-tym „Zetu" artykuł jego p. t. „Boa-dusiciel". Oznacza to niewątpliwie, że zarzuty zawarte tam (sprawa uwięzienia na przeciąg kilkudziesięciu lat rękopisów Hoene-Wrońskiego) są wszystkie bez wyjątku prawdziwe. Wiemy o tem sami, to jednak, że p. Przesmycki jest tego samego zdania, sprawia nam głęboką radość.

Ale w takim razie czem tłómaczyć to, że Miriam, zamiast wyświetlić i odeprzeć istotne zarzuty natury więcej jeszcze moralnej niż prawnej, zawarte w tamtym, objektywnym artykule, opartym na samych dowodach i cytatach — wnosi skargę na „Zet" z powodu przedruku paru przyczynków do tego zagadnienia, wniesionych przez „Jutro Pracy"? Czy jest to wyśliźnięcie się (usprawiedliwiające tytuł artykułu Jerzego Brauna) przez zwrócenie uwagi na inny punkt sprawy? Czy „trick" mający postawić Miriama przez dziwne salto mortale w pozycji atakującego? Czy może świadectwo, że Miriam zareagował nie na poważne zarzuty, obciążające go moralnie wobec kultury polskiej — lecz na nazwanie go starcem, pozbawionym sił twórczych i niezdolnym do dalszej pracy („Jutro Pracy")?

Wszystkie te zagadki wyjaśni przewód sądowy, na którym trudno będzie wykręcić się sianem od istotnego sensu tej przykrej sprawy. Wówczas też wypłyną na światło dzienne i inne — prócz przytoczonych już w „Zecie" — dowody bezprzykładnego postępowania Miriama ze spuścizną największego myśliciela Polski, a może i całej ludzkości.

P. Przesmycki znalazł już obrońców na łamach prasy, co nie dziwi nas wobec iście faryzejskich, zakłamanych stosunków panujących w kołach intelektualnych i literackich naszego kraju. Tchórzliwe kadzenie uznanym oficjalnie wielkościom jest tu na porządku dziennym, zaś wszelka odważna, a **bezinteresowna** inicjatywa — podjęta w obronie najwyższych wartości ducha — zagłuszana bywa okrzykami obłudnego zgorszenia.

W „Dniu Polskim" niejaki p. Zaniewicki wydrukował artykuł p. t. „Nie pozwalam", panegiryk na cześć Miriama, usiłujący trafić czytelnikom do sentymentu, a od zarzutów wykpić się gołosłownemi zaprzeczeniami. Na artykuł ten odpowie Jerzy Braun, redaktor „Zetu" w następnym numerze.

Narazie, aby odebrać p. Zaniewickiemu ochotę do dalszych oratorskich popisów, zahaczamy o jedno. Pisze on, że „50 lat trwa już ten żmudny, nieulękły (czegoby się miał lękać? — **przyp. nasz.**) trud myśli i natchnienia Miriama", ale w takiej tytanicznej pracy tych parę latek nic nie znaczy, bo przecież sam Braun stwierdza, że „niepodobieństwem jest dla jednego człowieka w ciągu całego życia przeczytać i przemyśleć gruntownie kilkaset jego (Wrońskiego) dzieł i rękopisów".

Otóż przedewszystkiem nikt nie żąda od Miriama, by był specjalistą od wszystkich działów filozofji Wrońskiego i przemyślał je gruntownie aż do rdzenia; musiałby wtedy bowiem zrozumieć sam absolut, zasadę tej doktryny, co dotąd nie powiodło się nikomu. Natomiast ma on tylko (nic więcej!) opracować **bibljograficznie** i wydać posiadane i zebrane przez siebie rękopisy — a na to nie trzeba koniecznie jakiegoś tytana.

Gdybyśmy jednakowoż przyznali, że nie mógł on w ciągu kilkudziesięciu lat dokonać całości dzieła, to nie zdoła nam nikt udowodnić, że Miriam nie mógł w ciągu tego czasu dopełnić pewnej maleńkiej drobnostki, którą przypominamy, aby wnieść element komizmu do tej smutnej sprawy.

A mianowicie w r. 1902, w zeszycie XVIII „Chimery" (grudzień, str. 472) w rubryce „Varia", pisał p. Przesmycki o echach prasowych 50-tej rocznicy śmierci Wrońskiego m. in. w ten sposób:

„W jednym z najbliższych zeszytów rozpatrzymy to nowe i dość jałowe — żniwo. Tymczasem, by **czemś rzeczowem** zaznaczyć rocznicę, podajemy prawdziwą nakoniec **datę urodzin Wrońskiego**, którą jest **sierpień 1776 roku** (chrzest 28-go tego miesiąca), nie zaś, jak błędnie dotąd podawano 1778 lub w niektórych 1775-go. **Udowodnimy to gdzieindziej dokumentami*)**".

Gigantyczny trud udowodnienia powyższego nie został w ciągu 30 lat dokonany, mimo — jak mówi p. Zaniewicki „wytężonej, nieustannej — bezsennej jakby powiedział Żeromski — pracy tego Wielkiego Samotnika". Jeszcze bardziej rozweselającym jest fakt, że Miriam brał udział w komitecie obchodu 150-tej rocznicy urodzin w r. 1928 pomimo, że tę datę uważa za niewłaściwą. **Bez komentarzy!**

Poruszając sprawę pobrania przez Miriama kwot z funduszów publicznych, robi p. Zaniewicki kapitalny wprost wynalazek: zdaniem jego pobranie zapomóg z grosza publicznego **nie zobowiązuje** bynajmniej do **wykazania się owocami** zapowiedzianej pracy. Dlaczegóż tedy — pozwalamy sobie zapytać — instytucje publiczne żądają tego od swoich stypendystów i to nawet w określonych terminach?

Niefortunny obrońca Miriama nie wmówi nikomu, że taka procedura szafowania dobrem publicznem jest gdziekolwiek i komukolwiek dozwolona.

*) Ostatnie podkreślenie nasze.

NUMER NINIEJSZY OTWIERA SERIĘ NUMERÓW WAKACYJNYCH. NUMERY TE UKAZYWAĆ SIĘ BĘDĄ, JAK DOTĄD, 1-go i 15-go KAŻDEGO MIESIĄCA, W OBJĘTOŚCI ZMNIEJSZONEJ DO 4-ch STRON. W DN. 15-go WRZEŚNIA UKAŻE SIĘ NUMER O OBJĘTOŚCI NORMALNEJ 6 STRON.

REDAKCJA.

Filozofja muzyki Wrońskiego

W artykule poprzednim starałem się wykazać, że do wyjaśnienia zasadniczych zjawisk muzyki, jak gama i harmonja, nie wystarczają ani prawa akustyki, ani psychologji. Już Kepler przewidywał rozwiązanie, twierdząc, że harmonja z jednej strony wynika z budowy świata, z drugiej strony zaś wypływa z natury człowieka: sądził więc, że jest niejako syntezą tych dwuch różnorodnych zasad: fizycznej i psychicznej. Aby zrozumieć, jak się podobna synteza wytwarza, należałoby się oprzeć na najogólniejszych prawach ontologicznych. Uczynił to poraz pierwszy w sposób naukowy Wroński i wykazał, że harmonja i gama nie są syntezą elementów psychofizycznych, lecz wynikają ze wzajemnej adaptacji tych dwóch zasad różnorodnych.

Wroński opiera swoją filozofję muzyki, tak jak i wszystkie inne systematy rzeczywistości, na tak zwanem Prawie Stworzenia. Nie mogę tu streszczać i tłumaczyć tego nadzwyczaj trudnego kanonu filozoficznego, muszę tylko zaznaczyć ogólnie, że: a) wykrywa on w każdym systemacie rzeczywistości dwie zasadnicze, różnorodne zasady biegunowe: element **byt** — czyste niezdeterminowane istnienie, którego cechami są bierność, bezwład i indywidualność, oraz element **wiedzę** — wszelką określność, a więc i to, co określa i to, co daje się określić: jest to zasada czynna, samorzutna i powszechna: b) wykazuje konieczność istnienia trzeciej zasady, tak zwanego **elementu neutralnego albo podstawowego,** który sprzymierza owe zasady biegunowe: c) wyjaśnia, w jaki sposób z kombinacyj i wpływów wzajemnych tych elementów zasadniczych wynika cała rozmaitość konkretów w systematach rzeczywistości.

Otóż, zanim rozważymy zastosowanie Prawa Stworzenia do zjawisk muzycznych, do gamy w szczególności, należy zaznaczyć, co Wroński pojmuje jako skalę muzyczną. Odróżnia on zespół wszystkich dźwięków, znajdujących się w granicach słyszalności (a więc od 16 drgań na sekundę do 20.000 mniej więcej), który nazywa „sonalité", od zespołu tonów, dających się odczuwać estetycznie i któremu daje nazwę „tonalité". Zagadnieniem podstawowem filozofji muzyki jest wykryć warunki i prawa, od których zależy ta „tonalité".

Otóż, aby jakikolwiek dźwięk był tonem muzycznym, drgania jego muszą być regularne i izochroniczne. Pozatem, aby szereg tonów był porównalny estetycznie, muszą tony poszczególne stosować się do pewnych praw, czyli częstości ich drgań powinny znajdować się do siebie w pewnych określonych stosunkach, uzależnionych częściowo od granic, w których ucho nasze odczuwa dwie wysokości, jako różne. W przeciwnym bowiem razie ów zespół tonów zamieniłby się w jakiś ciągły i nieokreślony szereg dźwiękowy, w którym wszelkie porównanie estetyczne byłoby niemożliwe.

Otóż proces ustalenia skali muzycznej polega na wyróżnieniu wśród ciągłej masy dźwięków szeregu nieciągłego tonów porównywalnych estetycznie. Ponieważ porównanie to wyraża się przez stosunki pomiędzy częstościami drgań, przy ustalaniu skali muzycznej nie grają roli wysokości absolutne jej składników, jedynie ich wzajemne ustosunkowanie. Punkt wyjścia takiej skali, jej ton zasadniczy, może być wybrany dowolnie, byleby się wogóle znajdował w granicach słyszalności.

Ustosunkowanie powyższe, jak zaznaczyłem, zależy w pewnym stopniu od subtelności ucha, które w miarę rozwoju muzyki coraz bardziej się doskonali, przez to stosunki się nieco zmieniają: mieliśmy najpierw gamę diatoniczną, później chromatyczną, obecnie dążymy do gamy ćwierćtonowej, która jest częściowo antycypowana w niektórych gamach wschodnich. W tym procesie jest jednak ścisła prawidłowość, której nie mogą wyjaśnić jedynie granice zdolności rozróżniania sąsiednich tonów. Dla wytłumaczenia tej prawidłowości zwraca się Wroński do Prawa Stworzenia. Wyznacza on w sposób następujący zasadnicze elementy muzyki:

I. **Element byt** — są to **warunki fizyczne (akustyczne) tonu.** Jak zaznaczyłem wyżej, warunkiem, by jakiś dźwięk był tonem muzycznym, jest izochroniczność jego drgań. Otóż sama ta izochroniczność zależy od prawa drgań harmonicznych Fourier'a, odkrytego a priori i stwierdzonego doświadczalnie (Ohm, Helmholtz): **wszelkie drganie rozkłada się na szereg drgań cząstkowych, dzielących długość wibracji zasadniczej odpowiednio przez 2, 3, 4, 5, 6 itd. (szereg liczb całkowitych).** Owe drgania pochodne dają tak zwane przydźwięki harmoniczne, albo alikwoty. W każdym dźwięku zawiera się więc następujący systemat tonów (liczby oznaczają stosunki długości drgań do długości wibracji zasadniczej):

$$1,\ \tfrac{1}{2},\ \tfrac{1}{3},\ \tfrac{1}{4},\ \tfrac{1}{5},\ \tfrac{1}{6},\ \tfrac{1}{7}\ \text{i t. d.} \quad (A)$$

Te drgania cząstkowe tworzą węzły, które regulują wibracje ośrodka i utrzymują izochroniczność drgań. Z drugiej strony mamy w samym dźwięku zawartą niejako całą skalę muzyczną.

Jak wiadomo (por. mój artykuł w 5 Nr „Zetu") z przydźwięków harmonicznych nie da się wyprowadzić gamy. Same więc warunki fizyczne tonów nie wystarczają do ustalenia skali muzycznej.

II. **Element wiedzę** — określa Wroński w muzyce, jako **warunki intelektualne tonu,** a więc zgodnie z definicją elementu wiedzy to, co w tonach muzycznych da się określić estetycznie. Nie będą to oczywiście ani częstości drgań, ani długości trwania poszczególnych wibracyj, gdyż tych cech nie odczuwamy słuchem. Wysokość możemy ocenić estetycznie jedynie przez porównanie jej z inną wysokością. Chodzi więc nie o wysokości absolutne, ale o ich stosunek. Jest rzeczą jasną, że wobec dowolności punktu wyjścia skali muzycznej (patrz wyżej) niezmienność ustosunkowania jej czynników może być zachowana jedynie przy stosunkach geometrycznych. Wówczas istotnie długość wibracji każdego dźwięku będzie zawsze stanowiła tę samą część długości wibracji dźwięku poprzedniego, niezależnie od wysokości absolutnej tonu zasadniczego. Niezmienność podobna nie byłaby zachowana przy porównywaniu wysokości naprz. za pomocą odejmowania od siebie długości trwania wibracyj dźwięków kolejnych. Stosunek geometryczny pomiedzy dwoma tonami nazywa się interwałem. Najprostszym z tych interwałów jest stosunek 2 do 1 odpowiadający oktawie. Powody, dla których oktawę należy przyjąć za interwał podstawowy, są następujące: a) jest to najprostszy możliwy stosunek geometryczny, b) jest to największy i pierwszy z interwałów, znajdujący się w serji alikwotów, c) już samo ucho odczuwa tę wyjątkową rowę lub parę oktaw, robią wrażenie prawie wę lub parę oktaw robią wrażenie prawie identycznych*).

Otóż jeżeli będziemy mieli dwa tony o długościach drgań $1/m : 1/n$ $(n > m)$, określimy interwał pomiędzy temi tonami jako n/m: jeżeli x będzie oznaczało tę część, jaką omawiany interwał stanowi względem oktawy, dla wyznaczenia x będziemy mieli równanie: $2x = n/m$, lub o ile chcemy wyrazić oktawę przez stosunek długości drgań $(\tfrac{1}{2})\, x = m/n$ (B_1) skąd wynika

$$x = \frac{Ln - Lm}{L2} \qquad (B_2)$$

gdzie L oznacza logarytm przy dowolnej zasadzie. Aby interwał n/m był porównalny estetycznie, liczba x powinna być wymierna. Przy zastosowaniu w wzorze (B_1) logarytmów o zasadzie 2 ((które oznaczymy Λ) otrzymujemy prostszy wzór, wyrażający „warunki intelektualne" tonu:

$$\Lambda(n/m) = \text{liczbie wymiernej.} \quad (B_3)$$

Wymagania te w przeciwieństwie do warunków fizycznych, wyrażających bezwład i określających osobno każdy poszczególny ton, są samorzutnie przez nas wytworzone i, ponieważ stosują się do wszelkich zespołów tonów, są powszechne (por. wyżej definicję elementów bytu i wiedzy).

Zanim przystąpię do dalszych rozważań, muszę zwrócić uwagę na ważne konsekwencje, wynikające z podanego wzoru logarytmicznego. Znajduje on swe potwierdzenie w prawie psychologicznem Webera, stwierdzającem, że: **podnietom zewnętrznym, wzrastającym w postępie geometrycznym, odpowiadają wrażenia, wzrastające w postępie arytmetycznym,** lub inaczej: **wrażenie mierzy się logarytmem podniety zmysłowej,** co odpowiada dokładnie wzorowi (B_2). W istocie muzyk odczuwa nprz. kwintę czystą jako rezultat **dodania** małej tercji do wielkiej, podczas, gdy jest to z punktu widzenia akustyki iloczyn stosunku $^5/_4$ (wielka tercja) przez $^6/_5$ (mała tercja) równy $^3/_2$ (czysta kwinta).

To wielkie prawo stosuje się do wszelkich wrażeń; umożliwia ono niejako Jedność Przedstawienia w tak nieskończonych ośrodkach, jak przestrzeń i czas. Ograniczona pojemność psychiczna naszego organizmu może ujmować nieskończoność zjawisk jedynie dzięki zdolności pewnego redukowania wrażeń w miarę wzrastania podniet.

Funkcja logarytmiczna ze wszystkich znanych funkcyj nieskończonych wzrasta najpowolniej (por. Warrain op. cit. str. 36).

Otóż jeśli zestawimy ze sobą elementy byt i wiedzę w systemacie muzyki, a więc warunki fizyczne i intelektualne, objektywne i subjektywne tonu, zobaczymy, że są to zasady rdzennie różnorodne i niesprowadzalne; niesprowadzalność ta znajduje swój matematyczny wyraz w tem, że funkcja (B_3) nie jest w ogólności liczbą wymierną. Ani warunki fizyczne tonu, ani psychiczno-intelektualne nie mogą wyjaśnić gamy i harmonji, synteza zaś ich wydaje się niemożliwą. Nic nie wskazuje zresztą à priori na konieczność, by takie powiązanie wogóle istniało. Samo jednak istnienie muzyki poręcza, że połączenie takie jest mozliwe i świadczy o pewnej celowości w naturze, sprzymierzającej owe zasady biegunowe (właśnie Piękno jako takie jest według Wrońskiego Celowością Subjektywną — por. artykuły estetyczne Jerzego Brauna w 5 numerze „Zetu").

III. Wyrazicielem tej celowości będzie w danym wypadku wspomniany wyżej **element neutralny,** który Wroński upatruje dla muzyki w **warunkach antropologicznych tonu** (powidzeiclibyśmy obecnie raczej: psychofizjologicznych).

Tu właśnie przychodzi nam z pomocą wzmiankowana już wyżej cecha naszego ucha, iż odczuwa ono dwie wysokości jako różne tylko do pewnej minimalnej granicy, poza którą wszelki interwał wydaje się nam unisonem. Jeśli dwoma dźwiękami granicznemi będą $1/\mu : 1/\nu$ $(\nu > \mu)$, interwał ν/μ będzie na nas robił wrażenie unisonu i nie odczujemy różnicy por

Wskutek tego wyrażenie (B_1) będzie miało granice:

$$(\tfrac{1}{2})^{x'} = \frac{\mu\ m}{\nu\ n} \ \text{i}\ (\tfrac{1}{2})^{x''} = \frac{\nu\ m}{\mu\ n}$$

a x bez zmiany dla naszego ucha będzie się mogło wahać pomiędzy:

$$x' = \Lambda n - \Lambda m + \Lambda\mu - \Lambda\nu \ \text{i}\ x'' = \Lambda n - \Lambda m + \Lambda\nu - \Lambda\mu\ ^{**} \qquad (C)$$

Dla uproszczenia wyrażenia (C) przyjmujemy, że $\Lambda\nu - \Lambda\mu = \lambda$ wówczas otrzymujemy następujące granice dla x, wyrażające warunki antropologiczne muzyki:

$$x' = \Lambda n - \Lambda m - \lambda \ ;\ x'' = \Lambda n - \Lambda m + \lambda \qquad (C_1)$$

Dzięki tym granicom nie odczuwamy słuchem odchyleń pomiędzy skalą otrzymaną na podstawie systematu (A), a skalą stosującą się do wymagań systematu (B_3). Odchylenia te pozwalają niejako przystosować do siebie i uzgodnić owe dwie skale różnorodne, a jednocześnie eliminują te z interwałów systematu (A), które nie czynią zadość wymaganiom (B_3) w granicach x' i x''

Interwał minimalny ν/μ nie jest wartością ustaloną i zależy od rozwoju subtelności ucha. Stąd wynika rozmaitość gam u rozmaitych narodów i w rozmaitych epokach. Wroński w obliczeniach swych podstawia pod $\nu \mid \mu$ 81 i 80, gdyż zasadniczo nasze ucho już nie odróżnia tych wysokości. Po podstawieniu tych wartości do wzoru otrzymujemy

$$x' = \Lambda n - \Lambda m - 0{,}0179219$$
$$x'' = \Lambda n - \Lambda m + 0{,}0179219$$

Dzięki tym granicom nie odczuwamy wybitnej różnicy pomiędzy interwałami temperowanemi, pitagorejskiemi, albo harmonicznemi. Według Warraina (op. cit. str. 38, 39) Wroński niecałkowicie przedstawił rolę, którą grają „warunki antropologiczne". Warrain podciąga pod tę zasadę również znane zjawisko, że muzycy interpretują dźwięki nietyle przez ich wysokości absolutne, ile przez to w jaki sposób dany dźwięk jest połączony z innemi. Dzięki temu **ten sam ton w skali** temperowanej odczuwamy raz jako **cis,** raz jako **des** albo nawet jako **hisis.** To transformowanie dźwięków również pozwala na wzajemną adaptację zespołów dźwiękowych, opartych na zasadach różnorodnych.

W artykule następnym przedstawię zastosowania praktyczne powyższych wzorów.

K. Régamey.

*) Warrain w rozprawie „Conception psycho-physique de la gamme" (str. 41), (por. niżej), w ten sposób objaśnia wrażenie identyczności, jakie otrzymujemy od dwóch dźwięków różniących się o oktawę: „Każda wibracja ma dwie fazy krańcowe: fazę równowagi albo spoczynku, oraz fazę największego wychylenia i napięcia. Otóż gdy dwa drgania znajdują się w stosunku oktawy, wibracja powolniejsza osiąga swe największe wychylenie właśnie w chwili, kiedy wibracja szybsza jest w spoczynku; w chwili gdy wibracja powolniejsza powraca do stanu równowagi, wibracja szybsza znowu jest w spoczynku; przeto wrażenie spoczynku i równowagi jest zachowane podczas dwu faz przeciwnych. Żaden inny interwał nie spełnia tych warunków.

**) Dla uproszczenia stosujemy logarytmy o zasadzie 2.

Wroński zajmował się filozofją muzyki na marginesie innych dociekań. Poglądy jego, wyłożone wyżej, zawarte są w liście jego do muzykologa francuskiego Kamila Durutte'a, który tenże umieszcza we wstępie do swego dzieła „Esthetique Musicale". Technie ou Lois générales du système harmonique. Paris, Metz 1855.

Pozatem koncepcje muzykologiczne Wrońskiego były omawiane w pracach następujących:

Charles Henry: „Wroński et l'Esthetique musicale". Paris 1887.

Charles Henry: „Cercle chromatique", Paris 1889.

Ernest Britt: „La synthèse de la Musique". Application de la Loi de Création de H. Wr. à la Gamme diatonique. Annales du XX Siecle. N. 2 1914.

Francis Warrain: „Conception psychophysique de la Gamme" Bulletin de l'Institut Général Psychologique), Paris 1921.

Paulin Chomicz: „Istota muzyki", „Gazeta Literacka" Nr. 14/35, 15 lipca 1927.

Paulin Chomicz: „Hoene-Wrońskiego" filozofja muzyki", Lwowskie Wiadomości muzyczne i literackie, 1 maja 1928 r. Nr. 5.

Deutschland erwache!

Lawina niemiecka toczy się. Dyplomaci z nad Tamizy i z Nowego Jorku przecierają oczy. Widmo, od którego paniczna trwoga kazała im odwracać się plecyma, wynurza się znów złowrogo z otchłani niezdrowych wyziewów, buchających z niemieckiego kotła czarownic.

„Jutro znowu wojna!" — pisze Otto Bauer w swej sensacyjnej książce. Ten niemiec szwajcarski zna swoich ludzi. „Ich kenne meine Leute..." — brzmi nam w uszach, gdy czytamy, że kto chce wojny i ruiny świata, ten „liczy na eksplozję Niemiec". Bauer mówi nam także, że niemcy to naród, który żąda by traktaty obowiązywały państwa zwycięskie, a nie obowiązywały jego, zwyciężonego; gdyby zaś ludzkość twierdziła coś przeciwnego, naród ten ma prawo zniszczyć ją ogniem i mieczem.

DEMON EUROPY.

Tak oto legli niemcy, jak nieprzebyta zapora na drodze wszelkich wysiłków, mogących ocalić cywilizację europejską od nieuchronnej ruiny. Tak oto niemieckie „veto!" wzbrania ludzkości pokoju, ładu, dobrobytu, wielkiej przyszłości moralnej i materjalnej. Tak oto w środku świata usadowił się demon, szyderczy i gniewny, który przed oczyma znękanej, przerażonej Europy reżyseruje widowisko potworne, mające odjąć jej nazawsze nadzieję powrotu normalnych stosunków i spokój nerwów.

Jak opisać to co się dzieje pomiędzy Renem a ujściem Wisły? Jak zobrazować światu i samemu narodowi niemieckiemu tę krwawą rzeczywistość, przed którą nie wolno już dłużej chować jak struś głowy w piasek?

Naród bez idei, ze zdruzgotanem samopoczuciem, ze świadomością rozbitą i rozluźnioną, pozbawiony kontroli intelektualnej i jakichkolwiek hamulców moralnych. Kraj najświetniejszych postępów filozoficznych, dziś zagłuszający każdy zdrowy zew myśli. Kraj najpiękniejszej dyscypliny moralnej, dziś odrażający zgnilizną, rozwydrzeniem i ohydą zboczeń seksualnych.

„Państwo Bojaźni Bożej", gdzie nawołuje się do jawnego pogaństwa, jako religji narodowej.

„Und Hochmuth ist wodurch die Engel fielen!" — ostrzegał niegdyś tych nieszczęsnych ich własny poeta. Stało się... Oszalały Anioł niemiecki miota się, z mieczem okrwawionym w jednej ręce, a z potarganym kodeksem „Faust-rechtu" w drugiej. Kłębią się w nim wszystkie upiory duszy teutońskiej, jak gady wypuszczone na świat z puszki Pandory. Więc kompleks wyższej rasy, nietzcheański, amoralny nadczłowiek, zrodzony z ubóstwienia aż do zawrotu głowy własnej jaźni. Więc rozlewny, hinduistyczny mistycyzm dla którego słusznie nazwano Niemcy Indjami Europy. Więc tajna rozwiązłość seksualna, ciężka i niezdrowa, w braku więzi etycznej niehamowana już niczem, nawet francuskim dobrym smakiem.

A wreszcie to ostatnie, najgorsze ze wszystkiego, „Wille zur Macht" urobiona na modłę krzyżacką, w postaci nieugaszonej febry wojennej. Znam to, mam przecież dużo germańskiej krwi w żyłach. Tam źródło snów o bitwach, rzeziach zaciekłych, zwycięskich, pochodach, snów, w których stukot karabinu maszynowego upaja jak najsłodsza muzyka. Tam źródło owych niezliczonych zakonów wojennych, które są najbezpośredniejszą formą niemieckiego (zwłaszcza północno - niemieckiego) życia gromadnego, tych wszystkich „Żelaznych Krzyżów", „Żelaznych Wilków" i „Hełmów stalowych". Dlatego lawina przyrodzonych skłonności gna Niemcy współczesne po linji najmniejszego oporu wprost w szorstki, wilczy obóz drapieżnych kohort Hitlera.

SZAŁ MISYJNY.

A przecież wszystko to zaczęło się dobrze i pięknie — od wzniosłego poczucia służby Bożej, od słusznej walki o wolność myśli, od twórczego trudu filozoficznego rozumu, od problemu naprawy moralnej człowieka, od wizji ładu powszechnego i heglowskiej koncepcji wszechmocy ducha. Niemcy wczorajsze dźwignęły się potęgą swej myśli filozoficznej tam, gdzie dotąd jeszcze nie dopędziła ich Europa. Czy poto tylko, aby runąć z tej wyżyny szalonym pędem strąconego Anioła, pijanego bólem i gniewem?

Nie wolno potępić bez zastrzeżeń, wielkiej „komedji ludzkiej" w jaką zabrnęły Niemcy w poczuciu swej misji dziejowej. Nie wolno widzieć w tem wszystkiem świadomej złej woli, założonej a priori, w samym rdzeniu metafizycznym niemieckiego ducha. Bogu chcieli służyć, ludzkość przetwarzać, aby jej dać szczęście. Zamierzyli uchwycić nieskończoność, zgłębić ją w swej filozofji, a wypowiedzieć w tytanicznych kręgach swej muzyki. Przecież to oni pierwsi ugruntowali prawo moralne w absolucie, oni przez usta Kanta wyśpiewali hymn na cześć obowiązku, najwznioślejszy jaki powstał kiedy na ziemi. Oni wreszcie, jak niegdyś Francja Marsyljanki i Napoleona, poczuli w sobie szlachetny żar mesjaniczny, żądni nieść swoje wielkie prawdy i hasła światu. Zamiast potępiać, lepiej zamyślić się nad groźną głębią procesów, odbywających się pod powierzchnią codziennego życia jednostek i całych narodów.

Człowiek jest słabą istotą. Im wyżej sięga duch jego, tem niebezpieczniej tańczy na linie nad bezdnem piekła. W zetknięciu z problemami przekraczającemi zakres warunków fizycznego bytu, doznaje niejednokrotnie zawrotu głowy. Doświadczyli tego na sobie niemcy. Zbłąkali się. Źle zrozumieli trudny problemat misji historycznej narodu, ubóstwili samych siebie na tronie świata — i zamiast służyć rozumem swym ludzkości zapragnęli panować nad trzodą „minderwertige Nationen". Podobnie ponurą tragedję przeżył już przed nimi inny „wybrany naród". Niemcy współczesne powtórzyły grzech śmiertelny Izraela.

Misyjny szał „kulturträgerów" uchwycił Niemcy za włosy i wlókł je od Sedanu i Sadowy, poprzez „Faustrecht" i hiperekspansję w „Deutschland über alles", w konflikt oceaniczny z lwem brytyjskim, w pomost bagdadzki, w gorączkę kolonjalną, w awanturę Wielkiej Ukrainy. Oszalały Anioł z mieczem nad głową runął w pożar wojny światowej, w straszliwy upust krwi, wreszcie w katastrofę cesarstwa. Teraz już tylko szamotanie, ogłuszenie ciosem, zupełny chaos moralny, anarchja pojęć.

PRAWDA DZIEJOWA NIEMIEC.

A jednak każdy z nas czuje „przez skórę", że Niemcy są wielkim narodem. Naród upada i dźwiga się, walczy i ulega chorobom — ale nie ginie, bo jest nieśmiertelny. Misja dziejowa narodu niemieckiego nie została dopełniona. Czy opętani przez demona złych skłonności niemieckiego ducha, będą umieli ci ludzie zawrócić na słuszną ścieżkę swej prawdy historycznej, swych wielkich zadań?

Fałszerz rzeczywistości niemieckiej Adolf Hitler bredzi o trzecim etapie. Jest w tem część prawdy. Ale ten trzeci etap to nie 3-cie cesarstwo, ta nowa inkarnacja złowrogiego, krwiożerczego demona. Prawdziwy trzeci etap, o ile nastąpi, winien być bardziej wzniosły, godniejszy trudu, dla ludzkości całej błogosławiony.

Pierwszy etap odbył się już przed kilkuset laty. Była nim reformacja religijna, którą należy ocenić bezstronnie jako wyzwolenie myśli ludzkiej i zwrócenie jej ku rozwiązaniu wielkiego problemu moralnego. Z tego przełomu wyrósł etap drugi: Olbrzymia reforma filozoficzna, podjęta dla rozwiązania problemu spekulatywnego. Osiągnęła ona punkt szczytowy w odkryciu absolutu moralnego, obowiązku, kantowskiego kategorycznego imperatywu.

W ten sposób niemcy usiłowali najpierw zrealizować praktycznie nakaz odrodzenia duchowego, dany ludzkości przez Chrystusa, a potem dali mu rozumowe ugruntowanie. Ale czy na tem koniec? Czy wolno im na tem poprzestać?

„Opportet vos nasci denuo — rzekł Chrystus. — Nisi quis renatus est denuo, non potest videre regnum Dei (Trzeba, abyście się po raz wtóry narodzili... Jeśli się kto nie narodzi po raz wtóry, nie ujrzy Królestwa Bożego).

„Quomodo possunt haec fieri?"

Jakoż to może być? Jak to uczynić? Ten piorunowy pytajnik, który pchał Niemcy do reformacji religijnej, do ścigania absolutu w ich filozofji transcendentnej — wisi nad niemi wciąż jako nierozwiązany problemat moralny, jako istotna prawda dziejowa Niemiec.

Z za krawędzi Jutra fascynuje już trzeci etap, reforma religijna przy pomocy filozofji spekulatywnej, powrót do Chrystusa przez rozwiązanie zagadki odrodzenia duchowego człowieka. W tej to zagadce nurzają się i dziś niemcy, popadając w obłędny, indochrześcijański mistycyzm całemi miljonami.

Aby wejść w ten etap, musieli wpierw odbyć drogę długą i trudną. Doświadczyli gorzkiego owocu świadomości złego i dobrego. Demon pychy rozsadził ich, upadek moralny przemienił cały naród jakby w strąconego Anioła. Dziś tylko przez wyrzeczenie się pychy i gorączki wojennej nastąpić może odrodzenie.

DEUTSCHLAND ERWACHE!

Niemcy obudźcie się! Oto ostatnie dzwonienie! Czy będziecie brnąć dalej w swój stary grzech śmiertelny? Czy już na zawsze chcecie pozostać zmorą Europy? Weźmiecież na swe sumienia nową katastrofę ludzkości, tym razem może już ostateczną? Czy raczej w zrozumieniu wspólnych zadań i niebezpieczeństw powołujących ludzkość do solidarnej współpracy, oddacie na jej usługi swój genjusz, swój umysł spekulatywny i swój organizacyjny zmysł ładu?

Znawcy duszy waszej będą się śmiać z tego rozpaczliwego wezwania. Wszak rzeczywistość ostatnich miesięcy pcha do nieszczęścia. Wszystkie obłędy, grzechy i sny mistyczne teutońskiego ducha — wcieliły się dziś w upiorny Hackenkreuz Hitlera. Z za pleców komedjanckiego dyktatora o złych oczach wyziera znowu maska kościotrupa wojny, w hełmie stalowym. Krwawy dylemat wskazuje dwa rozstrzygnięcia: Albo rzeź powszechna, bomby i gazy trujące, miasta zniesione z powierzchni ziemi, pięćdziesiąt miljonów ofiar, — albo barykady wojny domowej, triumf komuny i nieuchronne jej następstwo w tym kraju: nowa zawierucha religijna, a wreszcie anarchja, ciemność, zagłada.

Z pomiędzy dwu możliwości **wybierzcie trzecią.**

Deutschland erwache! **Jerzy Braun.**

Stosunek wzajemny nauki i filozofji

II Krytyka fenomenologizmu

Oprócz psychologizmu jest jeszcze drugi kierunek filozoficzny, pretendujący do naukowości to jest fenomenologja Husserla. Podobnie jak psychologizm, zakłada on właściwie jedną świadomość i rozpatruje jej istotne prawa: istotne t. zn. absolutne w tem znaczeniu, że bez nich nie dałaby się pomyśleć żadna świadomość wogóle. (Przykładem takiego prawa niech będzie twierdzenie, że niemożna pomyśleć przestrzeni w polu widzenia bez jakiejś barwy, a żadnej barwy niemożna pomyśleć inaczej, jak jako zajmującą pewną przestrzeń w polu widzenia, albo że np. ton, aby być słyszanym, musi mieć pewne skończone trwanie i odwrotnie, że trwanie samo dla siebie—t. zn. trwanie w świadomości—niewypełnione żadną jakością wogóle jest niewyobrażalne).

Uważam, że walka psychologizmu, w takiej postaci, jak u Corneliusa, z fenomenologją Husserla jest nieistotna, i może być kompromisowo załatwiona. Do tego problemu powrócę na innem miejscu szczegółowo. Otóż, o ile Cornelius operuje rzeczywiście minimalną ilością pojęć podstawowych — może nawet zbyt małą — o tyle Husserl wytwarza je w ilościach niepomiernych i, według mnie, całkiem zbytecznie. Nie mogę tu wchodzić w szczegółową krytykę pojęć intencjonalności i aktu, co w połączeniu z pojęciem przedmiotu ogólnego daje komplikację nie do przetrzymania. Dowodem jej zbyteczności jest właśnie to mnożenie się następne pojęć, które mają za zadanie połączenie tego, co się z założenia beznadziejnie rozdzieliło: mianowicie: aktu i przedmiotu, między któremi następuje ta „interkalacja" istności pośrednich. A wszystko ma swoje źródło w nieprzyjęciu pojęcia „ja" na samym początku i to nie w znaczeniu „czystej świadomości", bo ta jest sfałszowaniem rzeczywistości przez „fenomenologiczne nastawienie", tylko w znaczeniu pojęcia „ja" rzeczywistego, t. zn. przestrzenno - czasowego Istnienia Poszczególnego, indywiduum, czyli stworu żywego. Nieprzyjęcie pojęcia „ja" w realistycznem znaczeniu [1]) prowadzi do tego, że wyeliminowane sztucznie pojęcie to konsoliduje się w innem miejscu systemu w postaci pojęć zastępczych, niekoniecznych, których przyjęcie pociąga za sobą groźne komplikacje. A więc przedewszystkiem pojęcia intencjonalności i aktu. Husserl twierdzi, że zawsze, jeśli coś w świadomości zachodzi, mamy akt zmierzający w jakikolwiek sposób ku swemu przedmiotowi, pojętemu jaknajogólniej. Już sama najprostsza percepcja jest objętą jakimś aktem intencjonalnym: widzę dany kolor, słyszę dźwięk, czuję zapach: mamy akt widzenia i coś widzianego i t. p. To coś nazywa się ogólnie przedmiotem. Najlepiej widzimy to „zmierzanie ku przedmiotowi", które jest istotną cechą intencjonalności na przykładzie wspomnień. Tam akt zmierzania ku przedmiotowi aktualnie nie istniejącemu, jako treść swą ma nie przedmiot, tylko jego wspomnienie, poprzez które właśnie ku niemu zmierza [2]). Nie mogę wchodzić tu w krytykę szczegółową tego poglądu, zaznaczę tylko ogólnikowo parę zarzutów. Po pierwsze jeśli wszystko, cokolwiek w świadomości zachodzi, jest intencjonalne, to pojęcie to — przez nadmierne swe rozszerzenie — traci sens wszelki, stając się poprostu synonimem świadomości. Gdyby jednak faktycznie wszystkie przejawy świadomości były intencjonalne, to musielibyśmy się z tem pogodzić, mimo komplikacji, którą to stanowisko za sobą pociąga. Ale po pierwsze rzecz cała da się wyrazić inaczej, a powtóre, wyrażenie to będzie prostsze i zgodniejsze ze stanem rzeczy, jeśli się już zgodzimy na istotną (nie przypadkową) właściwość pojęć, że przy ich pomocy „płynna rzeczywistość stawania się" zupełnie adekwatnie wyrazić się nie da. Płynną rzeczywistość wyrażać może tylko inna płynna rzeczywistość. Otóż mnie się zdaje, że przedewszystkiem pojęcie aktu jest zupełnie zbyteczne i jest pojęciem zastępczem dla wyeliminowanego pojęcia „jaźni" w znaczeniu bezpośrednio danej jedności osobowości, czyli ciągłości trwania samego dla siebie czasowo-przestrzennego indywiduum żywego. Zarzut, który fenomenologowie robią psychologistom, jest ten, że, rozbiwszy świat na jakości, czy nawet ich kompleksy, nie są w stanie potem złożyć z nich tej całości, którą świat i pojedyńcze przedmioty w bezpośredniem przeżywaniu posiadają, przyczem zaznaczają, że wszystkie jakości są właściwościami przedmiotów (nawet ton dany jest w tym poglądzie właściwością jakiejś melodji, jako większej całości — nie słyszymy bowiem tonów oddzielnych, tylko melodję, która w terminologji fenomenologistów jest też przedmiotem), a jeśli przyznamy takim jakościom jak tony, zapachy i smaki przestrzenność, to nawet sam ton jest przedmiotem, a nie tylko jedną z właściwości melodji. Wogóle następuje w tej kwestji zamieszanie, które usuwa jedynie określenie jako przedmiotów właściwych przedmiotów materjalnych, wyznaczonych kompleksami jakości dotykowych, lub ich możliwości pod pewnemi warunkami, któremi to warunkami będą też pewne następstwa jakości. Z chwilą, kiedy przyjmie się świadomość, powstałą pierwotnie jedynie ze świadomości ciała, będącą w pierwotnym stanie tylko i jedynie tego ciała jednością (t. zn. jednością wyznaczających je jakości, specjalnie jakości „dotyku wewnętrznego" (czuć muskularnych i organów wewnętrznych) i dotyku zewnętrznego), świadomość, mającą tło zmięszane całej przeszłości „pod sobą" niejako, świadomość pełną oczekiwań na tle przeszłych doświadczeń, oczekiwań występujących przeważnie jako kompleksy czuć muskularnych i czuć wewnętrznych, w postaci „zaznaczonych" początkowych ruchów (szkiców do ruchu), wtedy przedewszystkiem inaczej się przedstawi kwestja przedmiotu, który zawsze rozpatruje się niewiadomo czemu w postaci jakości wzrokowych (barw i kształtów), a nigdy jako możliwości ruchów, których potrzebowalibyśmy, aby go osiągnąć i schwycić; następnie zaś sam akt w fenomenologji — tajemnicza, nieuchwytna, nie dająca się zanalizować, niewyobrażeniowa istność—sprowadziłby się do następstw jakości, na tle faktycznej jedności osobowości, nie tylko jako ciągłości w czasie, ale jedności aktualnie danej w danym wycinku teraźniejszości, na „tle zmięszanem" całej przeszłości. Inaczej, jeśli nie przyjmiemy sprowadzalności wszystkiego do następstw kompleksów jakości, musimy przyjąć dwa niewspółmierne ze sobą rodzaje świadomości: jedną hyletyczną (t. zn. świadomość jakości, czyli elementów zmysłowych) i drugą świadomość intencjonalną, czyli świadomość aktów, któreby tamte elementy w pewien sposób wypełniały i były przez nie ujęte. Oczywiście, o ile rzeczywistość jest, przypuśćmy, dwoista, tak jak to ma oczywiście i nieodparcie miejsce w wypadku czaso-przestrzenności wszystkiego, niemożna par force zbijać ją w jedność tylko dla jakiejś ładnej teoryjki. Ale jeśli można tę rzeczywistość opisać w terminach jednolitych, w obrębie jakiegoś poglądu, co wydaje mi się zupełnie możliwem, to rozbijanie jej na zupełnie heterogeniczne, niewspółmierne elementy, a następnie tworzenie całej masy pojęć pośrednich, które się między te elementy wkłada, aby je napowrót połączyć, wydaje mi się niepotrzebnym luksusem. Świadomość rozbija się na hyletyczną (to jest świadomość „bezpośrednio danych" Macha i Corneliusa, z których autorzy ci budują absolutnie wszystko) i świadomość aktową; związek zaś tych dwóch świadomości, jakoteż stosunek aktu do przedmiotu pozostaje dość tajemniczy. O ileby traktować te pojęcia, jako skróty psychologiczne, możnaby przeciw nim nic nie mieć. Ale jako pojęcia ostateczne — oznaczające elementy proste i nierozkładalne — są nieodpowiednie, ponieważ przy założeniu jedności osobowości bezpośrednio danej, okazują się jako sprowadzalne. Także w kwestji stosunku psychologji do logiki, w teorji pojęć wprowadza fenomenologja niebezpieczne rozdwojenie. Lepiej przyjąć odrebny pogląd logiczny i oddzielić go od Psychologji i Ontologji zupełnie.

Tak więc z dwóch „naukowych" kierunków filozofji musimy oddać pierwszeństwo psychologizmowi, który po pewnych modyfikacjach musi wejść w system Prawdy Absolutnej.

Dalej zajmę się stosunkiem nie „naukowej filozofji" do matematyki, tylko stosunkiem nauki, jako takiej, do filozofji, co będzie implikować problem zdefinjowania tych dwóch istności, co wcale nie jest tak łatwem, jakby się wydawało.

S. I. Witkiewicz.

PS. Przy artykule poprzednim „Krytyka psychologizmu", będącego pierwszym z dużej serji, którą mam zamiar wydrukować, opuszczony został „nad - tytuł", który jest umieszczony przy niniejszej części drugiej tej całości. Trzy pierwsze artykuły napisane były w jesieni r. 1931. Zamiast L, B, w wyliczeniu gatunku elementów Macha w artykule poprzednim, ma być α, β, γ.

[1]) Husserl przyjmuje je później, ale nie jako „ja" realne, to zn. nie jako jedność osobowości indywiduum czasowo-przestrzennego. „Ja" zostaje sprowadzone do „jaźniowości" (Ichlichkeit) aktów i nie podlega już fenomenologicznej redukcji, temniemniej pojęcia aktu nie ruguje.

[2]) Ale właśnie, według mnie, w chwili wspominania czegoś, mamy w pamięci wspomnienie tego czegoś i nic więcej, a nie wspomnienie i świadomość istnienia przedmiotu gdzieindziej, oprócz tego wspomnienia. To rozdwojenie jest sztuczne.

„Moralność wojowników a kapłanów"

Motto:

Homo homini res sacra esto.

Niemiecki filozof Kuno Fischer w obszernej swej historji filozofji nowożytnej nie wspomniał o Nietzschem. Na uczyniony mu z tego powodu zarzut odpowiedział, że dla warjatów nie znalazł miejsca w swym traktacie. Jeżeli sąd ten może wydać się nam zbyt surowym, nie możemy jednakże odmówić znakomitemu temu historykowi filozofji pewnych racyj. Kto nazywał siebie immoralistą, systematy zaś filozoficzne uważał za „szwindel", ten, oczywiście, nie czuł odpowiedzialności za to, co głosił, a swojem „przewartościowaniem wszystkich wartości" mógł tylko siać zamęt w umysłach, nie przyzwyczajonych do rzetelnych rozważań filozoficznych. Jeżeli dodamy jeszcze, że Nietzsche umarł w domu obłąkanych, skłonni będziemy uznać sąd o nim Kuno Fischera za uzasadniony i wyraźnie odgraniczający prawdę od fałszu. Lecz co to jest prawda? Gdybyśmy zadali sobie trud już nie znaleźć, lecz chociażby poszukać określenia prawdy, odwrócilibyśmy się raz nazawsze od Nietzschego, bowiem stałoby się dla nas jasnem, że przewartościowanie wszystkich wartości jest poczynaniem niedorzecznem, skoro nie zna się określenia prawdy. Przyrodzona nam gnuśność ułatwia wyjście z tak trudnego położenia: określenie prawdy odnosimy do dziedziny mitologji (tak uczynił jeden z naszych głośnych profesorów filozofji) i pozwalamy sobie rozważać wszystko bez krępujących nas kryterjów rozumowych: wówczas chaotyczny stek niepowiązanych myśli Nietzschego nazywamy filozofją życia i poczynamy lubować się i doszukiwać się mądrości w jego błyskotliwych paradoksach.

Moralność chrześcijańską chce on odrzucić, by powrócić do moralności ludzi pierwotnych, układających stosunki między ludźmi na przemocy silniejszego: moralność wojowników ma być wyższa od moralności kapłanów. Wdrożywszy swoją myśl w tym kierunku, Nietzsche posuwa się tak daleko, że wychwala nawet haniebne postępowanie Cezara Borgji.

Zagadnienia moralności, obowiązującej wszystkich zarówno, a różniącej się tylko w zależności od zakresu pojęć (moralność i logika są bardziej spowinowacone, niż powszechnie się mniema) nie mogą prowadzić do dwuznacznych rozwiązań, bowiem orzekający trybunał znajduje się w głębi naszego sumienia, będącego odbiciem absolutu w naszej samowiedzy.

„Każdy w sobie ma olbrzyma,
Który z prawdą, nie z nim trzyma".
(Krasiński).

To też L. H. Morstin w pięknej swej powieści o Koperniku p. t. „Kłos Panny" wyraża to w sposób nader prosty w rozmowie Kopernika z Albrechtem Hohenzollernem.

Hohenzollern: Inne są prawa moralności dla poddanych, a inne dla panującego. Trybunał, przed którym on odpowiada, jest nie z ziemskich sędziów złożony.

Kopernik: A ja jednak, Mości Książę, pozwolę sobie być innego zdania. Według mego pojęcia, książę panujący powinien się kierować tą samą moralnością, co każdy jego podwładny, tylko powinien być surowszym dla siebie, niż dla innych... To, co Machiavelli nazywa polityką, jest usprawiedliwieniem występku i zbrodni.

Rozwiązanie takie niektórym wydaje się zbyt prostem. W Nr. 1 z r. b. „Drogi" K. Zakrzewski, doszukując się przyczyn przeżywanego przez nas kryzysu, słusznie wskazuje przedewszystkiem na jego naturę moralną, nawołuje do heroicznych moralnych wysiłków, ale zarazem nie chce rozstać się z Nietzschem i Marksem. Z pierwszym już rozprawiliśmy się, o drugim powiemy, że kto pomieszał dziedzinę ekonomiczną, gdzie rządzą prawa konieczności, z dziedziną moralności, gdzie panuje wolność i, co większa, drugą dziedzinę podporządkował pierwszej, ten nie zna, albo nie chce znać moralności. Osobliwością omawianej rozprawy, mającej tytuł: „Narodziny nowej moralności", jest to, że autor ani słówkiem nie wspomniał o Kancie, któremu przedewszystkiem ludzkość zawdzięcza metafizyczne uzasadnienie moralności. Czyżby autor wspaniałego hymnu na cześć obowiązku nie zasługiwał na wzmiankę? Przypomnijmy tu, że według Kanta, moralne prawo jest samo w sobie święte, jako że zasadza się na wolnej woli, która według swych powszechnych praw winna być zgodna z tem, czemu ma się poddawać, że przeto człowiek, albo wogóle istota rozumna, jest celem samym w sobie, to zn., nigdy nie może być używany przez kogokolwiek tylko jako środek, nie będąc przytem sam celem zarazem, i że ludzkość w naszej osobie musi być dla nas samych świętą. Moralność odsłania nam absolut i jest wiązadłem świata zmysłowego z nadzmysłowym: obowiązek moralny jest własnem koniecznem chceniem istoty rozumnej, jako członka świata myślnego, i jest przez nią pojmowany jako nakaz o tyle, o ile uważa ona siebie zarazem za członka świata zmysłowego: dlatego nigdzie w świecie nie można niczego pomyśleć, coby bez zastrzeżeń można uważać za dobre, prócz jedynie dobrej woli.

Jak nikczemnie wobec tych rozumowań Kanta wygląda moralność wojowników Nietzschego i materjalizm dziejowy, niweczący w zarodku moralność. Być może, podobny wniosek przemknął przed umysłem omawianego autora (na rzecz takiego przypuszczenia przemawia przedewszystkiem sąd Libelta o polskiej umysłowości, którą on nazwał sokratyczną), bowiem przy końcu swej rozprawy powołuje się na Hoene - Wrońskiego i dłużej omawia myśli jego ucznia i wielbiciela *) C. Norwida, lecz tu wyciska piętno swych poprzednich rozważań i upodobań, przez co duch poglądów (nie systematu, jak chce autor, bowiem systematu Norwid nie stworzył) tego ostatniego został nieco skażony.

„Człowiek przychodzi na planetę, by dać świadectwo prawdzie" — to podstawowa teza Norwida, oddalająca go (a nie zbliżająca, jak chce autor) na nieskończoną odległość od Nietzschego i przeciwstawiająca jakiemubądź pragmatyzmowi (gdzie prawda jest zawsze podporządkowana dobru); dalej, wojny Norwid nie afirmuje, lecz w zgodzie ze swą tezą podstawową twierdzi, że wojny muszą się skończyć, gdy zwycięży prawda: atoli walka w znaczeniu dodatniem, t. j. jako współzawodnictwo, nie ustanie, gdyż jest warunkiem postępu.

Jeżeli autor twierdzi, — na co godzimy się najzupełniej, — że świat odrodzić może tylko moralność entuzjazmu heroicznego, to zmuszeni jesteśmy przyznać, że z wskazywanych przez autora mętnych źródeł entuzjazm ten nie wytryśnie. Świadomie twórcza a heroiczna praca ogarnie nasze życie tylko wówczas, gdy uświadomimy sobie łączność moralności, jako środka, z przeznaczeniem ostatecznem człowieka i ludzkości, jako celem.—Krócej mówiąc, z mesjaniczności rozpocznie się nowy okres dziejów.

Co do Hoene-Wrońskiego, to on właśnie obszernie omówił poruszone na początku artykułu K. Zakrzewskiego zagadnienie moralności wojowników a kapłanów w swym artykule: „Rozmowa księdza z wojskowym". lecz rozwiązanie wypadło wręcz inaczej, niż u Nietzschego.

Paulin Chomicz.

*) Norwid znał osobiście Hoene-Wrońskiego; namalował z natury jego portret w akwareli.

Życie teatru

„Dzika pszczoła", komedja **Ludwika Hieronima Morstina** (Teatr Mały)..

Rozbieżności w ocenie jednego utworu nie są dowodem słabości, zbędności krytyki, tylko różnorodności kryterjów, stosowanych przy analizie dzieła.

Pomijam tu z umysłu krytykę dyletancką, niedouczonych recenzentów gazetowych, albo wyraźnie nastawioną „handlowo", uprawiającą osobistą „politykę". Mam na myśli wyłącznie krytykę solidną, opartą na znajomości przedmiotu, literatury i jej pokrewnych działów kultury umysłowej. Między krytykami mogą zdarzać się duże różnice w ocenie jakiegoś zjawiska estetycznego, spowodowane odmiennemi sprawdzianami. Bardzo ciekawe bywa takie zestawienie różnych głosów o jednej sztuce. Rzucają one sporo światła na utwór, na jego oddziaływanie na psychikę widza.

Krytyk, który pasjonuje się przymierzaniem do twórczości artystycznej kryterjów życiowych, postulatów „zdrowego rozumu" — będzie więc np. w sztuce Morstina „Dzika pszczoła" ganił luki w praktycznem rozumowaniu postaci, będzie wytykał nielogiczności, czy niekonsekwencje w „stawianiu" sprawy. Inny znowu typ recenzenta przywdzieje togę teatrologa i będzie usiłował wykazać niedostatecznie obfitą (?) akcję w „Dzikiej pszczole".

Są u nas „wytrawni" teatrolodzy, mało wnikliwi i dociekliwi, którym najlepiej odpowiada komedja salonowa, którzy gubią się beznadziejnie we wszystkiem, co wykracza poza ramy.... „trójkąta" małżeńskiego. Ich kryterja estetyczne równają się kilku szablonowym, podręcznikowym formułkom. Nic dziwnego, że między nimi a autorem wytwarza się próżnia.

Krytyk może wyrażać się ujemnie o tych czy innych właściwościach dzieła, ale musi umieć podkreślić istotne momenty, musi przychylnie lub nieprzychylnie scharakteryzować składniki utworu. Wtedy staje się zajmującym przewodnikiem po terenach sztuki.

Spróbujmy odbyć taką wycieczkę krytyczną po komedji Morstina.

Tym razem jest to utwór prozą. Z wyjątkiem paru „licencyj" w kierunku nadmiernej retoryki (niektóre „kwestje" pensjonarki Haliny, lub żony starosty") całość utrzymana jest w stylu dość opanowanym, choć niepozbawionym alegoryj i symbolów. Ale ten symbolizm dodaje okrasy refleksjom Morstina. Jakże niebanalnie ujął autor postać liberalnego, dobrodusznego myśliciela..: Doprawdy, jest to postać w całem tego słowa znaczeniu interesująca. W dużej mierze sukces swój zawdzięcza autor znakomitemu wykonawcy, Zelwerowiczowi, który reżyserował „Dziką pszczołę", stwarzając widowisko, mimo kilku groteskowych, jaskrawych akcentów — raczej przyciszone, o pastelowych tonach.

Zapewne, sztuce Morstina można zarzucić nadmierne wydęcie epizodu z komitetem pomocy bezrobotnym. O sztucznej tu i owdzie kwiecistości stylu mówiliśmy powyżej. Postacie sztuki za bardzo rezonerskie, każda ma swój dział, swoje intelektualne nastawienie. Stąd zarzucono Morstinowi zbytnią „literackość" sztuki. Ale jest to zarzut ryzykowny. Przecież wolimy, bądź co bądź, słuchać inteligentnej rozmowy na scenie, choćby była ona stosunkowo za mądra (w ustach postaci scenicznych), niż monotonnie powszednich djalogów buduarowo - alkowianych. Oczywiście, temat rozmów nie decyduje o ich wartości, dołącza się tu jeszcze styl autora. A tu, na szczęście, Morstin prawie że uniknął pretensjonalności.

Akcja komedji? — owszem, wcale ożywiona; wszakże szereg wątku różnych spraw (sprawa „trójkąta" starosty i dwóch kobiet, sprawa pensjonarki i narzeczonego komunisty, sprawa bezrobotnych w Proszowic, stosunek uczonego do komunisty i t. p.) nie daje wrażenia wielkiej bujności. Chwilami spychają one główną sprawę na plan dalszy.

Oceniając rzecz pod kątem widzenia realizmu, można niejedno wytknąć „Dzikiej pszczole".

A więc pewną modną dziś powierzchowność w ujmowaniu miasteczkowego środowiska; niejedno niedociągnięcie u występujących osób... Ponieważ jednak „Dzika pszczoła" potrafi nas zainteresować — pomimo tych braków (posiada bowiem swoistą ekspresję na innej płaszczyźnie) — nie wytaczamy procesu autorowi. Przecież to jest pogodna, miła komedyjka z wypadami w kierunku t. zw. filozofji życiowej.

Grano sztukę wybornie. Prócz świetnego Zelwerowicza (o czem wyżej) wymienić trzeba: Gryf - Olszewską, Jarkowską, specjalizującą się w rolach podlotków, Kamińską, Różyckiego i in.

Jarosław Janowski.

Jeszcze parę wyjaśnień

Nie odpowiadam narazie J. Braunowi wprost na jego wywody w 4-ym Nr. „Zet", gdyż odpowiedź taka wymagałaby przedtem systematycznego wykładu mojego „systemu", który jako realistyczny (i w którym jednak to, co jest według mnie, w idealiźmie słusznem, zostało zachowane) djametralnie przeciwny jest wszelkiej metafizyce tego typu, jak filozofja Wrońskiego. Dyskusja w tym wymiarze byłaby niepłodna. Chodziłoby o stworzenie platformy dla jej umożliwienia, do czego przyczynią się zapewne moje artykuły, w których powoli będę się starał częściowo eksponować moje zapatrywania, przeprowadzając ogólnikową choćby krytykę innych systemów.

Co do hipostazy pojęć i prawdy negatywnej np. istnieje między Braunem a mną grube nieporozumienie. Otóż uważam, że hipostaza następuje wtedy, gdy pewne dowolne, t. zn. niekoniecznie przez pojęcie Istnienia implikowane pojęcia, przyjęte są zgóry, a następnie „urealnione", jako odpowiadające pewnej rzeczywistości, przyczem rzeczywistość ta wtłaczana jest w dane kategorje par force, bez względu na to, czy ulega przytem deformacji, czy nie. Prawda Negatywna nie jest dla mnie dojściem do realnej nicości, tylko określeniem granic filozoficznego poznania, czyli, jak to wolę nazwać, granic adekw. opisu Istnienia w całości.

Przypomnę jeszcze, że Braun robił mi kiedyś zarzut, że jestem pod złym wpływem psychologizmu; odpowiedziałem mu, że psychologizmu nie docenia, chyba na podstawie jego niedokładnej znajomości. Okazuje się, że Braun nietylko psychologizmu nie docenia, ale niedokładnie zdaje sobie sprawę, czem jest psychologizm, jako kierunek filozoficzny (Mach, Avenarius, Cornelius) i utożsamia go z psychologją, jako nauką specjalną i to mimo, że zaznacza, iż zna moje artykuły w (I.K.C.), w których ciągle starałem się wielokrotnie podać popularnie istotę psychologizmu, jako doktryny, która przy odpowiednich poprawkach (patrz, kochanie, artykuł w Nr. 5-tym „Zet") musi wejść, według mnie, jako część konieczna w system Prawdy Absolutnej.

Wobec takich nieporozumień lepiej odłożyć dyskusję na później, do bliższego poznania się wzajemnego. Zaznaczam przytem, że w miarę lepszego poznawania teorji Wrońskiego, coraz bardziej krystalizują mi się zarzuty w już powziętym poprzednio kierunku, co szczegółowo w którymś z dalszych artykułów wyjaśnię.

Nie wiem o wpływie jakich „kół" na mnie Braun mówi — bo „koła" takie nie istnieją.

Zaznaczam jeszcze raz (raz na zawsze), że nigdy nie kwestjonuję autorytetu fizyki w sprawach fizyki, tylko na podstawie tego, że opis fizykalny świata nie wyczerpuje wszystkich problemów (co już wielu uczonych dziś uznaje, np. Weyl, Jeans), szczególniej w miarę postępu idealizacji matematycznej fizyki, uważam, że fizycy, **jako tacy**, nie mają prawa rozstrzygać wszystkich zagadnień filozoficznych, a przedewszystkiem lekceważyć samej filozofji, nie jako dowolnej dogmatyki, tylko jako Ontologji Ogólnej. W tem znaczeniu „leżę na brzuchu" przed fizyką, w czem każdy człowiek, który wie, o co chodzi, musi się ze mną solidaryzować.

S. I. Witkiewicz.

Jutro N p!*)

Na marginesie nowej książki S. I. Witkiewicza

„Jak tylko daleko sięga się w dzieje ludzkie zawsze na jakieś „omany narkotyczne" natrafić można. Widocznie świadomość doprowadzona do pewnego stopnia wyostrzenia nie mogła wprost znieść sama siebie wśród metafizycznej potworności Istnienia i czemś musiała łagodzić swoją własną perspikację" (str. 17).

„Ja, który byłem do pewnego stopnia idealnie w tym kierunku predysponowanym, przezwyciężyłem światopogląd „artystycznego zatracenia się w życiu", i to powinno być ostrzeżeniem dla młodych ludzi, których może skusić tego gatunku „usprawiedliwienie" „białych obłędów". Lepiej nie wykonać pewnej ilości pewnego gatunku zdeformowanych bohomazów, niż zatracić to, co jest w dzisiejszym człowieku jeszcze najistotniejszego, to jest prawidłowo funkcjonujący intelekt" (str. 88 89).

(S. I. Witkiewicz: „Nikotyna, Alkohol, Kokaina, Peyotl, Morfina, Eter + Appendix 1932. Warszawa).

Tadeusz Boy-Żeleński, omawiając twórczość dramatyczną S. I. Witkiewicza, na łamach „Pologne Litteraire" pisze: „Après la récente première de Varsovie, ce fut un cri unanime: „Mais c'est un talent immense"!

Siła talentu S. I. Witkiewicza przełamała niechęć wychowanego na teatrze realistycznym społeczeństwa i uprzedzenie krytyki!

I.

Celem niniejszego szkicu będzie wykazanie tej sugestywnej siły leżącej u podłoża twórczości autora omawianej tu przezemnie książki.

Zawiodą się ci, którzy w tej książce oprawionej w czarną makabryczną okładkę i zaopatrzonej we frapujący tytuł, szukać będą „mocnych wrażeń" przeżywanych (jak to się zwykle dzieje w takich wypadkach) cudzym kosztem. Witkiewicz nie daje sposobności do sentymentalnego roztkliwiania się nad autorem opłakującym „tragedję swego życia", nie przybiera swych w dużej mierze osobistych zwierzeń w „literacką" (brr!) formę â la Claude Farrere ani w makabryczne strászności â la Evers.

Ostatnie „dziełko" S. I. Witkiewicza dalekie jest także od wszelkiego posmaczku belferskiej rozprawy „zalecającej" się jałowem zestawieniem faktów i absolutną dezorjentacją wobec całości Istnienia.

Witkiewicz pisze zawsze „na całego", bo: „każdy powinien pisać jaknajintenzywniej, o ile go tylko stać, i to tak samo w **subtelnościach** jak i w brutalnościach**) „...przedewszystkiem chodzi o natężenie tak w anielstwie jak w djabelstwie".

Twórczość jego wolną jest od narzuconych, zwyczajowo utartych ograniczeń: „język jest rzeczą żywą — gdyby zawsze go uważano za mumję i myślano że nic w nim zmienić nie wolno, to ładnieby wyglądała literatura, poezja, a nawet to kochane i przeklęte życie".

Bo przecież:

„Chodzi o to, żeby język giętki
Powiedział wszystko co pomyśli głowa".

Oczywiście dla osobników nawykłych do myślenia kategorjami odbarwionych słów i żyjących jakby automatycznie w zupełnem oderwaniu od swej istoty, od poczucia jedności swego „ja", twórczość Witkiewicza jest czemś obcem, niezrozumiałem, drażniącem. Będą stosować do niej swoje sądy i zawieszone w próżni kategoryjki pojęciowe, napróżno usiłując sklasyfikować i zamknąć w szufladkę, opatrzoną w odpowiednią etykietkę twórczość Witkiewicza.

Sugestywna siła jego osoby przejawia się w każdem słowie, błahym napozór dowcipie.

Jest to wynik tej absolutnej jedności, ktora przejawia się w każdym drobiazgu, tego nieustannego kontaktu ze swoim „ja", które emanuje z wszelkiej czynności, z każdego odruchu.

Dlatego każdy czyn S. I. Witkiewicza (jak np. zaprzestanie używania narkotyków) płynący z odsłoniętych głębin jego jaźni wywiera na nas tak wielkie wrażenie.

Warunkiem kontaktu i bezpośredniego obcowania z twórczością Witkiewicza jest doznanie dziwności Istnienia: „Czemu ja jestem tem właśnie, a nie innem istnieniem", w tem miejscu nieskończonej przestrzeni, i w tej chwili nieskończonego czasu? W tej grupie istnień, na tej właśnie planecie? **dlaczego*****) wogóle istnieję, mógłbym nie istnieć wcale, **dlaczego** wogóle coś jest?..." (S. I. Witkiewicz „Nowe formy w malarstwie" Warszawa 1919).

II.

Witkiewicz posiada niezwykłego „czuja": dar regenerowania zużytych słów. Wyświechtane, zniszczone wskutek codziennego użycia słowa i zwroty, przy umiejętnem operowaniu cudzysłowem zyskują nową wartość, stają się elementem tego wspaniałego humoru, który emanuje z kart ostatniej jego książki.

Humor Witkiewicza jest i ubocznym produktem jego pracy twórczej i jednym z najistotniejszych jej elementów. Płynie poprzez wiersze wewnętrznym, równym nurtem, i dlatego czytamy tę książkę bez odruchowego ordynarnego śmiechu, jaki wywołuje dowcipnie wpitraszony witz, ale z radością, jaką daje obcowanie z utworem poczętym w umyśle prawdziwego twórcy.

Witkiewicza cechuje przerost intelektualny, zamykający wewnętrzny wylew w jakiś „kosmiczny" **cudzysłów**, stosunek intelektualny nie tylko do tworzywa, ale i do niezbadanych głębin twórczego aktu, który specyficznym, nieokreślonym wprost uśmiechem wygląda z poza jego twórczości artystycznej.

III.

„Metoda moja jest czysto psychologiczna — pisze Witkiewicz — „Chodzi mi o zwrócenie uwagi na skutki psychiczne trucizn tych (alkohol, nikotyna), skutki, które każdy, nawet **początkujący** może już w minjaturze na sobie oglądać, na długo przedtem, nim całkowicie opanowanym zostanie" (str. 13).

Sądzę że tylko tego rodzaju metoda może dać pożądane wyniki.

„Jeśli młodzieńcowi lat 15 pokazać wątrobę 40-stoletniego alkoholika, przerośniętą i zdegenerowaną, czy przestanie pić na ten widok? Nie — zbyt daleko jest od mego ten rok 40-sty, jest czemś niewyobrażalnem. Wiem to z własnego doświadczenia. A zresztą każdy mówi: „E — czy będę żył o kilka lat dłużej, czy krócej, to jest ganc wurszt und pomade" — „chodzi o tę chwilkę" ...„trzeba ukazać skutki psychiczne, doraźne, których powolnego postępu („schleichender Vorgang — brr... strach!) nie każdy może zaobserwować, a szczególniej ten, co używa danego narkotyku stale, bez przerwy".

Nie czując się kompetentnym, nie będę omawiał treści tej fascynującej książki. A zresztą uważam to za bezcelowe, niesposób w krótkim szkicu objawić całą zgrozę powolnego tumanienia i przepalania mózgu. Poprzestaję więc tylko na wskazaniu metody.

IV.

Z przerażeniem widzę, że sterta niedopałków rośnie przedemną. Musiałem wypisać tęgie bzdury w stanie nikotynowego zjełopienia.

Dziś podług recepty z 16 strony, urzynam się („Daleko łatwiej rozprawić się z nikotyną na tle lekkiej choćby glątewki poalkoholowej").

A jutro — Jutro Np.!

Bolesław Miciński.

*) Np. = nie palę.
**) Cytaty wzięte z rozdziału o peyotlu.
***) Podkr. moje.

Sfinks podrobiony

W krakowskim „Czasie" ukazał się artykuł pt. „Hoene - Wroński a współczesność", którego ukryty sens nietrudno odgadnąć. Autor jego, człowiek o wybitnie „wzmożonem samopoczuciu", zarzuca Wrońskiemu „apodyktyczny ton" „pretensje do nieomylności" „pozowanie na sfinksa" itp. Niestety wszystko to odnosi się raczej do autora artykułu, zmierza on bowiem wyraźnie do zasuggerowania czytelnikowi, że o ile dotychczasowe próby zaznajamiania go z filozofją Wrońskiego, czynione przez innych ludzi, były bezwartościowe i niewłaściwe, o tyle on (ON!) odsłoni nam w jądrze tej doktryny „gmach myśli prosty a wspaniały, godny rzeczywiście mieszkania bogów".

Aby wzbudzić w społeczeństwie polskiem ufność w genjusz Wrońskiego, w możliwość dokonania przezeń „najważniejszego, najgłębszego, a zarazem **najprostszego** (oczywiście dla autora artykułu w „Czasie" — **(przyp. mój)** odkrycia, jakie kiedykolwiek stać się może treścią myśli ludzkiej" — pisze on wciąż o skazach, błędach, napuszonej naiwności i błędnej metodzie dydaktycznej Wrońskiego. O „wierutnych, namacalnych bzdurach" wymyślanych niekiedy przez tego „jedynego" polskiego filozofa. Cytuje nawet trzy z nich, aby ośmieszyć Wrońskiego definitywnie w oczach każdego zdrowo myślącego, ale bezkrytycznego w dziedzinie filozofji czytelnika. Oto one:

1) „Cholera jest skutkiem działania geomagnetycznego!

2) Można ruletkę tak opanować rachunkiem, aby systematycznie wygrywać!!

3) Równowaga duchowa wszechświata wymaga, aby na każdego genjusza rodził się jeden wcielony djabeł!!!"

Aby unaocznić nicość szkodliwych wywodów zagadkowego w swych intencjach czciciela genjuszu Wrońskiego — pozwolę sobie odpowiedzieć na jego druzgocące argumenty:

Ad. 1) Paryski „Matin" pisze, że lekarzy dawno już uderzyło zjawisko, iż wypadki śmierci nagłej powtarzają się szczególnie często w pewnych okresach roku, trwających 2 — 3 dni. O wyjaśnienie tego dziwnego zjawiska pokusił się dr. Maurice Faure, który stwierdził przedewszystkiem, że te serje nagłych zgonów powstają jednocześnie w różnych krajach, a więc w warunkach atmosferycznych odmiennych. Po długiem poszukiwaniu przyczyny bardziej ogólnej tego zjawiska, wyłuszczył on na posiedzeniu paryskiej Akademji Lekarskiej pogląd swój, że przyczyną tą zdają się być plamy słoneczne. Porównując liczbę nagłych zgonów w dniach, w których plam na słońcu niema, z dniami, w których się one pojawiają, wykazał, że liczba zgonów w drugim wypadku jest dwa razy większa niż w pierwszym. Zdaniem Faure'a zwiększanie się liczby nagłych zgonów należy przypisać wywołanym przez plamy słoneczne chwilowym zaburzeniom równowagi w organach, regulujących proces życia. Gdy przypomnimy wpływ plam słonecznych na ziemskie pole magnetyczne, hipoteza Wrońskiego o działaniu prądów geomagnetycznych wyglądać będzie w oczach czytelników nieco inaczej.

Ad. 2) Zamiast wykpiwać Wrońskiego ironicznym wykrzyknikiem, należało raczej poddać rzeczowej analizie prawo teleologiczne przypadku rozważone w pismach Wrońskiego, dotyczących rachunku prawdopodobieństwa. Wroński był nazbyt wielkim matematykiem, by wolno było poczynać sobie tak po korsarsku z wyrwanym z całokształtu jego dzieła jednym z jego twierdzeń. To „opanowanie ruletki" polegało na niezmiernie skomplikowanym rachunku prawdopodobieństwa matematycznego, a ponieważ Wroński stwierdza, że stosował go z powodzeniem i eksperymentując, stale wygrywał, niema powodu, byśmy temu mieli nie wierzyć. Wybitny uczony francuski Charles Henry był widocznie nieco innego zdania w tej sprawie (niż sfinks ze szpalt „Czasu"), skoro wydał niedawno ponownie drukowane prace Wr. dotyczące przypadku.

Ad. 3) U Wrońskiego nie ma mowy o żadnych wcielonych djabłach. Przeciwstawia się on wyraźnie przypuszczeniu św. Pawła, że istoty takie istnieją w warunkach fizycznych na ziemi. Uznaje natomiast **zasadę zła absolutnego.**

Inaczej rzecz się ma z równowagą dobra i zła. Że te dwie zasady równoważą się dotychczas na ziemi, mamy **dowód**, że dotąd żadna z tych zasad nie zwyciężyła. Zjawisko walki tych zasad, zjawisko prześladowania genjuszów i pojawiania się osobników wyraźnie destrukcyjnych, których nazwaćby można wrogami prawdy — nie mogło być przez Wrońskiego niedostrzeżone. Niejaką analogję do poglądu Wrońskiego na to arcytrudne zagadnienie natury moralnej — znajdujemy w wypowiedziach szeregu myślicieli różnych epok i krajów; oto kilka z nich:

1) Rozprawa Filona Aleksandryjczyka: „Jak to co lepsze niszczy się przez to co gorsze".

2) Sofokles: „Feu feu ta megala megala kai paschei kaka". (Na wielkie czyny czyhają wielkie zawady).

3) Bossuet rozważa dziwne zjawisko nienawiści ludzi do prawdy.

4) Szopenhauer omawia tę potworność często i wszechstronnie, dając rady i przestrogi pionierom myśli.

5) Tu zacytuję zdanie Krasińskiego: „Każda myśl w Bogu poczęta, z wieczności w czas i przestrzeń posłana, jako cząsteczka Prawdy, jako córka boża, to samo cierpieć musi, co przecierpiał Bóg - Syn wcielony. Objawi się wśród ludzi — opowie nieba część, i męczy się, i krzyż swój nosi, i grób swój ma, i zmartwychwstaje, ażeby siąść na ołtarzu i panować wiecznie".

Hoene - Wroński, jako szczytowy myśliciel, był i jest dotąd prawdziwym sfinksem dla ludzkości. Natomiast człowiek z „Czasu" choć pozuje na sfinksa zarówno dziwną taktyką swego artykułu, jak dyskretnem miganiem przed oczyma „absolutem" Wrońskiego — niedobrze wygląda w tej roli.

Jeżeli chciał on wystąpieniem swojem zaszkodzić Wrońskiemu, to niewątpliwie dopiął celu. Negacja niektórym ludziom imponuje, toteż podchwycono ją radośnie (obacz notatkę „Silva rerum" w „Słowie" wileńskiem i notatkę w „Świecie" z dn. 4 czerwca br.). Jeżeli zamiar jego był wprost przeciwny, to artykuł w „Czasie", jako najzupełniej chybiony, jest „wierutną, namacalną bzdurą".

Przypominam przysłowie: „Qui perfecit in litteris et defecit in moribus, plus defecit quam perfecit".

J. Braun.

Przegląd prasy

PRAWDA O ROZŁAMIE.

„Gazeta Literacka" załączyła do n-ru 9-go (czerwiec 1932) dodatek nadzwyczajny w sprawie secesji grupy literatów krakowskich z krak. Związku Zawodowego. Grupa ta dała do niektórych pism oświadczenie, w którem zarzuca uprzedniemu Zarządowi stworzenie sztucznej większości na walnem zebraniu w dn. 22 maja br.; miało to znaczyć, że Zarząd przyjął nowych członków w ostatniej chwili przed zebraniem i dzięki temu uzyskał większość. W odpowiedzi na to Zarząd Związku Zawodowego Lit. Pol. w Krakowie stwierdza w dodatku do „Gazety Literackiej" że:

„Na walnem zebraniu w dn. 22 maja br. było obecnych podczas głosowania 35 członków Związku, za Zarządem głosowało 28 członków (w czem 19 członków należących od chwili założenia Związku, względnie przyjętych do r. 1930, a więc dawno należących do Związku, oraz 9 członków, nowych, przyjętych w myśl statutu w ciągu ostatniego roku), a tylko siedmiu (7) przedstawicieli opozycji wstrzymało się od głosowania. Podkreślamy fakt, że gdyby owych (9) dziewięciu nowych członków wogóle nie głosowało, to i tak stosunek opozycji 7 członków, do prawie 3 razy większej ilości dawno przyjętych, popierających Zarząd, wynosiłby ściśle 7 : 19".

(Dalej następują nazwiska członków i czas ich przyjęcia).

„Stwierdzamy zatem, że zarzut „sztucznej większości" jest całkowicie niezgodny z prawdą.

Stwierdzamy dalej, że zarzut „uniemożliwienia dyskusji" jest również niesłuszny, ustępujący bowiem Zarząd Związku, chcąc ułatwić krytykę jego działalności, wystąpił na początku zgromadzenia z wnioskiem o dopuszczenie do głosu także tych członków Związku, którzy zalegali z wkładkami, a którzy według statutu stracili automatycznie prawo głosu, co dotyczyło wszystkich członków opozycji.

Co do zarzutów w sprawie rzekomych „praktyk" przy przyznaniu nagrody kol. Gałuszce stwierdzamy, że **nagroda ta** została przyznana ściśle według regulaminu Nagrody Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie, uchwalonego na walnem zgromadzeniu w dniu 7 czerwca 1931 r.

Wzywamy więc podpisanych w proteście o dostarczenie dowodów na to, że ich twierdzenie nie jest bezpodstawne.

Mając na względzie wspólny nam wszystkim zawodowy interes pisarza polskiego, oraz dobro sprawy, wyrażamy nadzieję, że ludzie dobrej woli uznają wywołanie rozłamu w Związku jako bezpodstawne i szkodliwe".

Pod oświadczeniem tem znajdują się podpisy wszystkich członków Zarządu z K. H. Rostworowskim jako prezesem, na czele.

W tym samym numerze „Gazety Literackiej" znajduje się również następujące oświadczenie redakcji, które zamieszczamy bez komentarzy:

„Z powodu wyłonionej przez grupę siedmiu członków, na ostatniem Walnem Zgromadzeniu Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie, krytyki pewnych posunięć redakcji, dla przeczyszczenia atmosfery i uniknięcia fałszywych adresów a także dla wytłómaczenia powodów, dla których p.**Czachowski** przestał być członkiem redakcji, zmuszeni jesteśmy wyjawić, że **dostawcą i autorem notatki o p. Tuwimie**, zamieszczonej w Nr. 4 naszego pisma, która wywołała atak p. **Tuwima** na kol. **Gałuszkę**, był właśnie p. **Kazimierz Czachowski**, który usunął się tylko od odpowiedzialności".

SŁONIMSKI, BOY, WINAWER.

W „Gazecie Polskiej" w n-rach z dn. 29.V, 31.V i 1.VI ukazał się artykuł polemiczny S. I. Witkiewicza p. t. „Tchórze, niedołęgi, czy „przemilczacze" (Słonimski. Winawer et Comp.). Artykuł jest tak obszerny, że trudno streścić wszystkie istotne kwestje w nim poruszone; cytujemy więc tylko parę ustępów, odnoszących się do przemilczenia przez Słonimskiego i Winawera znanego odczytu Witkiewicza p. t. „O potrzebie intelektualizmu w literaturze".

„Ludzie wykładający jakąś rzecz bez oporu i dyskusji nabierają przeświadczenia, że każde ich słowo, nawet nie w sferze ich specjalności, jest świętością. Nabierają autorytetu ogólnego we wszystkich możliwych dziedzinach. Taki autorytet wmówili sobie i innym Winawer i Słonimski".

Ludzie tego typu załatwiają się z przeciwnikami zapomocą dowcipów, aluzyj i metody, którą Witkiewicz nazywa „psztykarstwem". Uchylają się od rzeczowej walki polemicznej w sferze pojęć ogólnych i idej; w ten sposób wykręcił się Winawer od dyskusji z Witkiewiczem nad artykułem w „Gazecie Polskiej" p. t. „O najazd na filozofję".

„Do tego wszystkiego oświadcza mi Winawer na Krupówkach, że wogóle mego artykułu wcale nie czytał. Jest to wielkopańska nonszalancja doprowadzona do niemal radziwiłłowskich już wymiarów — nie przystoi ona fizykowi, literatowi, wogóle człowiekowi intelektu i pióra".

Charakterystycznem jest też postępowanie Słonimskiego:

„Po odczycie Słonimski zaczął ze mną dyskusję prywatną: nie mogłem mu odpowiedzieć z powodu zmęczenia, a do tego przysłuchiwało się temu parę osób z boku. Ale powiedziałem, że już tych parę uwag daje mi ciekawy materjał do polemiki. Słonimski oświadczył, że nie mogę korzystać ze słów wypowiedzianych, ale jeśli wydrukuję odczyt, to on odpowie mi natychmiast i to w eleganckiej formie, jak mnie potem jeszcze zapewniał. Błagałem go o bezwzględność. Chyba liczył na to, że nigdy odczytu nie wydrukuję. Upłynęły miesiące — problem jest ciężki, nie trzeba udawać — ale o odpowiedzi i polemice ani słychu. Bo chyba nie jest Słonimski tak wielkim panem, aby za załatwienie się z tym problemem uznał perfidne, a przytem dęte, bez żadnego pokrycia puszczone kawałki o moim rzekomym braku dyscypliny umysłowej. To jest nieładnie i to właśnie nazywam brakiem dobrych obyczajów w literaturze".

Witkiewicz słusznie piętnuje mieszanie do dyskusyj nad ideami i zagadnieniami motywów i spraw osobistych, czem grzeszy zresztą nietylko Słonimski:

„To są właśnie te złe obyczaje o których piszę. Co mają sztuki — nawet najbardziej fantastyczne, czy nawet choćby bezsensowne — wspólnego z czysto pojęciową czyjąś pracą? Jest to wyraźny argument demagogiczny, obliczony na rzekomą głupotę tłumu, który wcale nie jest **aż tak głupi**".

„Czysto ideowe napaści są odwartościowane tem, że czynią to — według Słonimskiego — ludzie mający z nim osobiste porachunki za złe krytyki".

„O wielki humanitarysto, o freudysto o niezanalizowanych kompleksach, o znawco natury ludzkiej, w jakimże wielkim i prawie że świadomym jesteś błędzie. Nie — nie tylko ten jest znawcą dusz, który drugiego zawsze za świnię uważa. Niebezpieczna to droga, bo ostatecznie mogą nawet t. zw. „ludziska" przyjść do przekonania, że jak mówi rosyjskie przysłowie: „Wsiakij mierit swoim arszinom". Nie — tak źle nie jest — wierz mi — nie bądź zbyt wielkim pesymistą: są jeszcze ludzie w Polsce, którym chodzi o same ideje i których motorami postępowania nie jest osobista pretensja, zawiść i zazdrość".

Witkiewicz kończy swój artykuł apostrofą do Boya-Żeleńskiego, którego pióro potrzebniejsze jest w innych dziedzinach niż te, któremi się dziś zajmuje:

„A teraz posłuchaj mnie Tadeuszu Boyu-Żeleński, Ty, któryś lansował kiedyś moje sztuki, ale nigdy nie chciałeś ze mną dyskusji w gazetach o nieszczęsnej Czystej Formie: zleź raz z tej swojej macicy, z Pirożyńskiego, z bronzownictwa, rozwodów i ustawy małżeńskiej i nawet z dawnej francuskiej literatury — zajmij się więcej literaturą obecną naszą i jej problemami".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Wszystkim przyjaciołom i czytelnikom naszego pisma, którzy nadesłali nam wyrazy życzliwości i uznania, przesyłamy tą drogą serdeczne podziękowanie.

Autorowi art. o jugosłowiańskich stosunkach literackich. Z artykułu nadesłanego nie skorzystamy, nie leży bowiem na linji naszych zainteresowań. Tak wiele, tak bardzo wiele pisze się teraz o nędzy literatów, że głos nasz w tej sprawie byłby co najmniej zbyteczny. Tem bardziej, że jest tyle ważniejszych rzeczy do omówienia!

Przeglądając „Zet" już się Pan zapewne zorjentował, jakie stanowisko zajęliśmy. Gdyby Pan zechciał informować naszych czytelników o analogicznych problemach poruszanych w prasie słowiańskiej — drukowalibyśmy chętnie. Aby uniknąć jednak nieporozumień zaznaczamy, że redakcja honorarjów nie płaci.

P. St. B. Cieszyn. Dziękujemy za miłe słowa. Żądane numery wysłaliśmy. Opracowań dzieł religijnych Wrońskiego niestety, ani w polskim, ani w niemieckim języku niema. Są natomiast w przekł. polskim dwie rzeczy Wrońskiego z tej dziedziny: List do Papieży i Prolegomena t. III. Do nabycia w Instytucie im. Wrońskiego — Piękna 68 m. 7.

P. Karolowi S. w Bydgoszczy. Adres red. „Czasu" Kraków ul. św. Tomasza. Nie odpowiadaliśmy wcześniej, bo mieliśmy nadzieję żądany numer dla Pana wydostać. Niestety nie udało nam się. Może Pan będzie szczęśliwszy.

P. P. K. Lublin. Jak Pan zauważył zapewne — umieściliśmy w poprzednim numerze (przed otrzymaniem Pańskiego art.) — recenzję o Czechowiczu — kontrastowo inną. Dlatego artykuł niestety pójść nie może. Także do sprawy p. K. nie chcemy powracać więcej. Prosilibyśmy o krótkie, parowierszowe notatki do kroniki o życiu kulturalnem Lublina. Artykuły oba zwracamy listownie (wyjątkowo: — gdyż redakcja z zasady rękopisów nie zwraca).

P. M. W. Sambor. Książki, o której Pan wspomina — szukałem w kilku księgarniach; jak dotąd — bezskutecznie. Jeżeli znajdę, prześlę ją Panu, lub zawiadomię, gdzie można ją dostać. Za adresy dziękuję. Czekam z ciekawością pracy Pańskiej.

L. J. Przemyśl. Pomyłka w adresie. Artykuł ten należało skierować do „Wiad. Literackich". Nie skorzystamy.

Prosimy P. T. Abonentów o odnowienie prenumeraty za 2-gi kwartał

REDAKCJA: Warszawa — Jerzy Braun, Inżynierska 7 m. 30. **Telefon 10 - 20 - 58.** Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Inżynierska 7 m. 30. Tel. 10-20-58. Konto P. K. O. 153.210. Lwów: Józef Radzimiński, Strzała 8. Tel. 40-35.

Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.